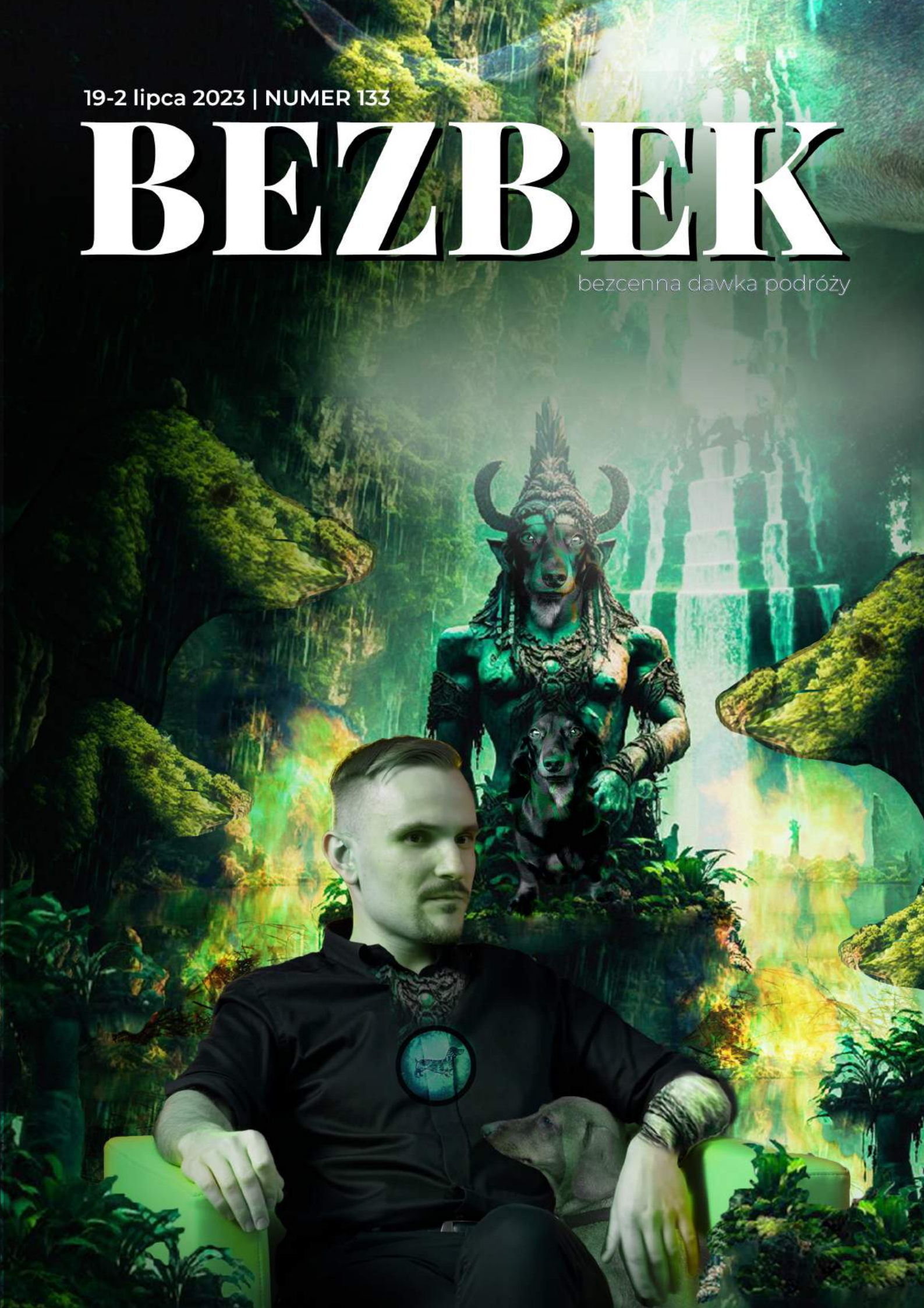


19-2 lipca 2023 | NUMER 133

BEZBIEK

bezcenna dawka podróży



UWAGA!

**MOŻLIWE PĘKANIE ZE ŚMIECHU, ZRYWANIE BOKÓW ORAZ
W JEDNYM PRZYPADKU PŁAKUWA,
CZYTASZ NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ***

*MAGAZYN BEZBEK NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA SZKODY ZDROWOTNE CZYTELNIKÓW.

**MALTA SOLO?
CZEMU NIE!
STR. 8**



Autorka: A. Jankowiak



**WYWIAD Z
KRZYSZTOFEM M.
MAJEM
STR. 10**

**ZADBAJ W UPAŁ
O PUPILA
STR. 20**



Autorka: Marysia Bolek

W TYM NUMERZE:

- 6** GDZIE NA WAKACJE?
- 8** MALTA SOLO? CZEMU NIE!
- 10** *EDUKACJA JEST EGOISTYCZNA* - WYWIAD Z KRZYSZTOFEM M. MAJEM
- 18** „SPAKUJ NAS, POJEDŹMY NA HEL(GOLAND)”
- 20** ZADBAJ W UPAŁ O PUPILA
- 22** RANKING MEMÓW
- 23** HOROSKOP
- 24** BYĆ MOŻE W KOLEJNEJ PODRÓŻY

DO BEZBEKOWICZÓW!

Urszula Skorodziło

Drodzy Czytelnicy,

założycielka Magazynu Bezbek i redaktorka naczelna, Urszula, pojechała w Bieszczady, dlatego nie ma w tym numerze noty.



Autor: Zygmunt Put, licencja CC BY-SA 4.0, [Wikipedia.org](https://pl.wikipedia.org) [dostęp: 30.06.2023]

GDZIE NA WAKACJE?

Drodzy Bezbegy, wciąż nie wiecie, gdzie chcecie wyjechać na wakacje? Nie macie żadnych planów? Pora skończyć z rutynowym wypadem do Zakopca czy z oklepanymi nadmorskimi kurortami. Z pomocą przychodzi redakcja Magazynu Bezbek – tak samo stęskniona za naszymi Kochanymi Redaktorami Najlepszego Daily Show na polskim YouTube. Kierunek podróży po lekturze niniejszego tekstu powinien być oczywisty. Szczególnie jeśli jesteście spragnieni ciszy, spokoju i wiejskiego klimatu.

Poniżej przedkładam listę godnych do odwiedzenia miejscówek, które powinny już dawno nadać miano honorowych mieszkańców sami-wiecie-komu.

- Markowicze – wieś położona w województwie lubelskim, na terenie powiatu biłgorajskiego, w gminie Księżpol.
- Włodkowice – wieś położona w województwie zachodniopomorskim, w powiecie gryfińskim, w gminie Gryfino.
- Karolów – wieś sołecka położona w województwie świętokrzyskim, w powiecie pińczowskim, w gminie Michałów.
- Karolinów – wieś położona w województwie łódzkim, w powiecie tomaszowskim, w gminie Tomaszów Mazowiecki.

- Paciorkowizna – osada położona w województwie łódzkim, w powiecie radomszczańskim, w gminie Gomunice.

W zasadzie nieważne, gdzie udacie się na letni odpoczynek. Ważne jak i z kim go spędzicie. Chyba nie muszę dodawać, że najodpowiedniejszą opcją dla każdego, kto używa dumnie brzmiącego miana bezbeka, będzie \$review\$ dwóch poprzednich sezonów Lekko Zręczniczych tak, aby odpowiednio nastroić się przed nową serią. Dobór towarzystwa pozostaje jednak w pełni dowolny. Równie dobrze możecie planować kolejne LS-owe maratony z osobą towarzyszącą, zwierzęciem towarzyszącym lub po prostu z kisielcem.

Pamiętajcie też, Drodzy, o odpowiednich przerwach w oglądaniu, aby Wasze piękne oczy mogły doświadczać jeszcze wielu pięknych widoków (i kolejnych odcinków nowej serii). A dla smażących się w ogniach piekielnych cudownego słońeczka, przypominajka: używajcie kremów z filtrem, nieważne, co mówią o tym różne osoby z krańców internetowej otchłani. Z okazji rozpoczętych wakacji redakcja Bebeka życzy wszystkim Czytelnikom miłego i bezpiecznego wypoczynku, pełnego cierpliwości w oczekiwaniu na wrzesień. Jednemu i Drugiemu także należy się przerwa. Pamiętajcie, wróć silniejsi.

MALTA SOLO? CZEMU NIE!

Marzył*ś kiedyś o podróży za granicę, ale Twoja ekipa nie może się zgrać? Ciągłe komuś termin nie pasuje, a ktoś nie ma kasy, a to ktoś się rozchorował, ktoś się z kimś pokłócił... Jednym słowem: dramat. Co wtedy robisz? Z żalem przekładasz termin znowu i znowu, i znowu, aż może w końcu choć jedna osoba się zgodzi? A może warto inaczej! Możesz przecież nie rezygnować z własnych planów i pojechać solo! Tak, samemu.

Jako wieloletnia podróżniczka też byłam początkowo sceptycznie nastawiona do swojego własnego pomysłu. Zawsze jeździłam z innymi, czasem umawiałam się z ludźmi przez grupki w Internecie i poznawaliśmy się dopiero na polskim lotnisku albo u kogoś na noclegu, ale w kraju docelowym zawsze nie byłam sama. Taka myśl, że ludzie, z którymi lecisz, mają też pracę/rodzinę w Polsce i na pewno wrócą, jest czymś, co daje poczucie spokoju wewnętrznego. Grupki podróżnicze to specyficzne zamknięte środowisko oparte na wzajemnym zaufaniu i chęci wyrwania się od przytłaczającej codzienności i odpoczynku. Swoją drogą, może to być alternatywa dla tych, którzy nie zdecydują się na podróż samemu. Poznać można naprawdę ciekawych ludzi i mieć znajomości na lata, nawet biznesowe – pozdrawiam Cię, Dorota <3.

Ale wracając do podróży solo. Czemu uważam, że warto pojechać samemu choć w jedną podróż zagranicę? Człowiek uczy się niezależności i poznaje bardziej siebie. Musi sobie radzić, a więc staje się pewniejszy. Odkrywa się w sobie wtedy duże pokłady kreatywności i planowania własnego czasu. No i język! Nie zapominajmy o języku, bo taki wyjazd

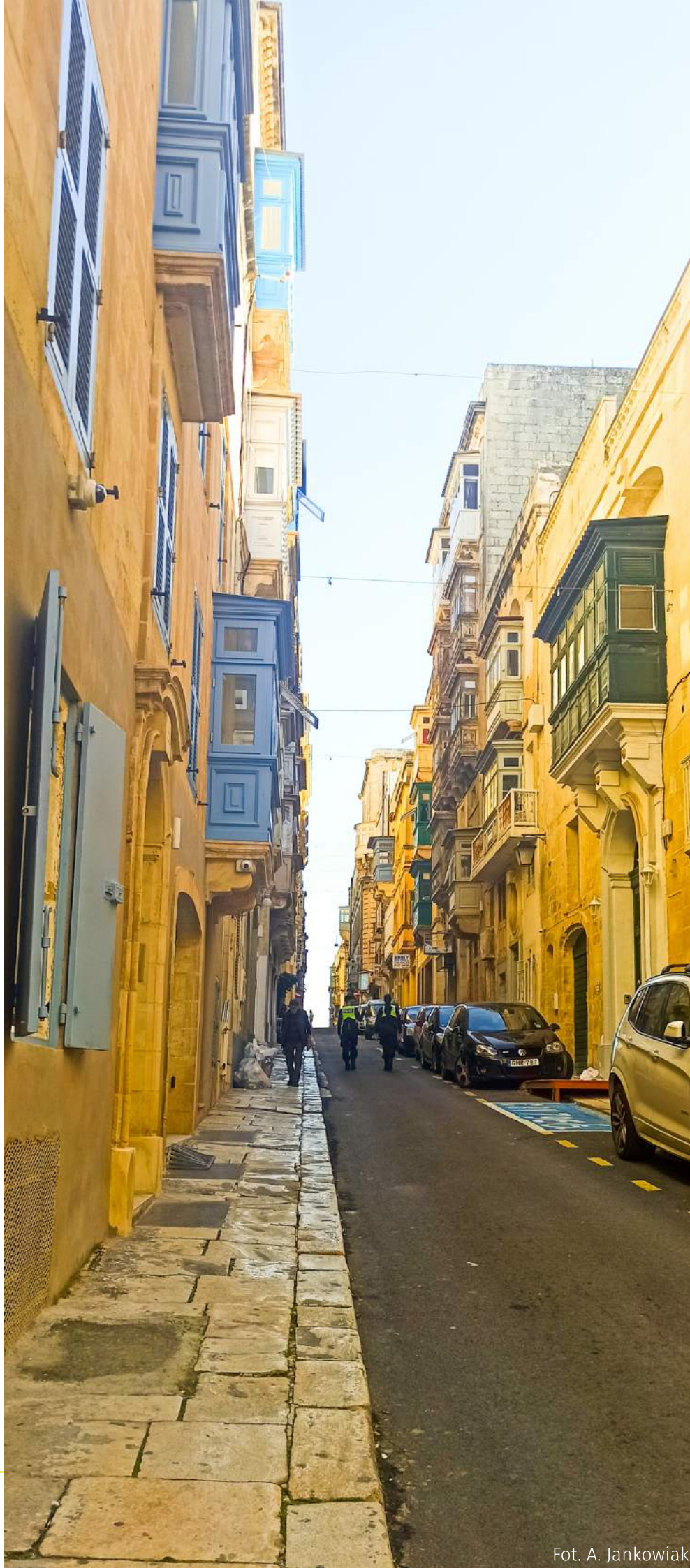
to idealny sposób, żeby pozbyć się kompleksów i problemów związanych z mówieniem. Wiecie, że idealny angielski, jakiego nas uczą w szkołach, praktycznie w żadnym kraju nie jest używany? Stopień komunikatywny i szczerzy uśmiech potrafią zdziałać cuda! Ja rozumiałam, że my, Polacy, jesteśmy za grzeczni w mowie (używamy bardzo dużo zwrotów grzecznościowych, co zadziwia za granicą) i czasem może to przysporzyć wiele zaskakujących sytuacji. Ale to temat na osobny artykuł.

Jaki kraj polecam na swoją pierwszą podróż solo? Maltę! Dlaczego? Kraj jest bardzo mały – wszędzie dojdziecie spokojnie komunikacją miejską, jest bardzo ładny, więc można dużo spacerować, bilety lotnicze są tanie, noclegi poza sezonem potrafią być przecenione o 50%, a przede wszystkim mieszkańcy są bardzo mili i uprzejmi. No i praktycznie każdy mówi po angielsku, bo to jeden z ich języków urzędowych. Dlatego komunikacja jest niezwykle przyjemna, a, co ważne, Maltańcy starają się zrozumieć, o co chcesz zapytać i starają się pomóc, gdy nie wiesz, jak coś powiedzieć.

Poniżej fragment wpisu z mojego bloga z podróży *Malta na weekend w grudniu*. Przeżyjcie ze mną jeszcze raz tę przygodę!

„Dzień dobry! Jak zapisuje pierwsze słowa tego wpisu to siedzę w samolocie i lecę na Maltę. Nie, nie tą w Poznaniu, a na wyspę nad Morzem Śródziemnym. Co skłoniło mnie do wycieczki tam? Definitywnie ciepło! Aktualnie pilot zapowiedział, że po lądowaniu przywita nas pogoda +20 st C, a tymczasem w Polsce mamy -10 st C. No różnica sporawa.

Ciekawostka: Malta jest najdalej wysuniętym na południe krajem Unii Europejskiej, ale nie najdalej wysunięta wyspą. I już z klimatem



subtropikalnym, ale jeszcze śródziemnomorskim. Zimy są niezwykle łagodne więc jest ciepło cały rok. Zdecydowanie najbardziej polecanym okresem na przyjazd jest okres poza sezonem – nie ma tak wielu turystów, czasem pada deszcz, jest bardziej zielono i jest taniej. Według *International Living*, Malta jest państwem z najlepszym klimatem na świecie, to podobno jedyna w Europie wyspa, która jest zielona przez cały rok. Choć może się wydawać że jest bardzo sucho, przez wypalone słońcem elewacje, które zyskują charakterystyczną żółtą barwę po za sezonem jest totalnie przyjemnie. (...) W Vallecie czas jakby się zatrzymał i budynki mówią ile zdarzeń i historii widziały. Stolicę uważam również za niesamowicie romantyczne i Instagramowe miejsce w związku ze „słoneczną” kolorystyką.

Kolejnym miejscem jaki polecam jest Popeye Village. Ale, tutaj podkreślę, niekoniecznie trzeba wchodzić do środka. Dlaczego? Czy wioska jest warta kupna biletu i zwiedzania? Jeśli nie macie małych dzieci, fanów Papeye to niekoniecznie. Sama wioska jest mała, a domki dość blisko siebie, więc jeśli nie czujecie potrzeby skorzystania z kawiarni wewnątrz to nie trzeba tam wchodzić. Mi nawet lokalsi odradzali. Za to polecam się wybrać tam autobusem linią 101 (lub pieszo przez plantacje truskawek jeśli, jak ja, mieszkacie w Mellieha) i minąć wioskę po lewej stronie. Tam znajduje się rozległy i piękny park krajobrazowy na klifach, z którego rozpościerają cudowne widoki na Morze Śródziemne.

Kolejnym punktem, jeśli ktoś jak ja uwielbia skałki, jest plaża Riviera. Tam jest miejsce z czystą wodą, a niedaleko ścieżki na skałkach do spacerowania oraz idealny widok na zachód słońca. Na tej plaży można być codziennie i się nie znudzi. Okolice sprzyja spacerom i jak wszędzie dobrze dojedziecie autobusem.
(...)

Na Maltę jeszcze planuje wrócić spróbować większej ilości lokalnego jedzenia, zwiedzić południe wyspy oraz przyległe Como i Gozo. Maltańczycy to bardzo przyjemni i mili ludzie. Myślę że to idealne miejsce gdzie wyjechać, jeśli chcecie podszkolić angielski i pozbyć się blokady językowej. Mieszkańcy są pełni serdeczności i wyrozumiałości, a to ważne”.

Jeśli chcecie dowiedzieć się o wskazówkach dotyczących poruszania się po wyspie – aplikacji, jaką warto mieć, kosztach oraz co warto zjeść, zachęcam do przeczytania całego mojego wpisu ([LINK](#)).

A. Jankowiak



EDUKACJA JEST EGOISTYCZNA

O problemach polskiego systemu edukacji, studiach oraz dobrej konkurencji z adiunktem AGH, znawcą teorii światotwórstwa i popularyzатorem nowych technologii w edukacji dr. Krzysztofem M. Majem rozmawiał Mateusz Matłok, a pomagali mu Gosia oraz Mikołaj.

Mateusz: Zacznę od kwestii, którą w swojej książce *Włtam się do mózgu* poruszył Radek Kotarski, czyli o nieprzekazywaniu uczniom wiedzy nt. tego, w jaki sposób powinni się uczyć. Nauczyciele przekazują swoim podopiecznym suchą wiedzę, ale nie mówią o jej przyswajaniu, gdyż sami nie zostali nauczeni, jak właściwie powinni to robić. Czy jest szansa, że młodzi pedagodzy mogliby coś zmienić w tym zakresie?

Krzysztof: Jestem w kontakcie z wieloma studentkami i studentami pedagogiki i historia za każdym razem powtarza się tak samo – mają pomysły, przedstawiają je, ale odbijają się od ściany, ponieważ cały system edukacji wyższej jest skonstruowany w taki sposób, że cokolwiek opracowujesz, musisz zyskać *imprimatur*, czyli pieczętę puszczania do druku, najczęściej od starego boomeru. Dla przykładu, moja znajoma zajmuje się wykorzystywaniem gier w pedagogice i często rozbija się o mur argumentu: „No ale przecież gry wywołują agresję”. To jest problem, którego może dobrą analogią byłaby sytuacja, w której chcesz badać np. akcelerator cząstek w Genewie i dostajesz odpowiedź: „No ale przecież Dan Brown w *Aniołach i Demonach* mówił, że to satanizm!”. Możemy sobie zadać retoryczne pytanie, czy w takim razie postęp w nauce byłby możliwy i odpowiedź brzmi: „Nie”, i to jest taki najbardziej pesymistyczny scenariusz, który mam. Ta skostniała struktura akademicka wymaga nieprawdopodobnej siły samozaparć, zdrowia psychicznego, asertywności i bagażu wiedzewego, żeby można się było w ogóle przez to przebić. Mnie się wydawało, że taki mam, moja rodzina też jest wielopokoleniową akademicką rodziną, ale nie pomogło mi to w tym, bo i tak skończyłem z deprechą i ledwo udało mi się dostać tam, gdzie zawsze chciałem, czyli na wymarzony etat.

Paradoksalnie myślę, że jest większa szansa na zmiany w obszarze biznesowo-techniczno-NGO-sowym, w którym są ludzie zdający sobie sprawę z tego, że pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić oddolnie. Z im większą liczbą ludzi się spotykam, tym bardziej się przekonuję, że jest to możliwe tylko w ten sposób, bo nie ma szans na zmianę systemową – jest zbyt dużo naczyń połączonych. Ja też, będąc w naprawdę bardzo sprzyjającym środowisku, w najlepszym miejscu pracy, jakie mogłem sobie wyobrazić, bardzo mi sprzyjającym, i tak widzę, że z pewnymi rzeczami po prostu nie da się przebić z tego względu, że w uczelniach panuje nie merytokracja, a demokracja i rządy większości, więc jeżeli większość ma określone poglądy, to nic z nimi nie można zrobić ponad oddolną edukację.

M: Nic się nie zmienia, więc oznacza to, że nawet młodzi studenci mogą czerpać z przestarzałych wzorców?

K: W stu procentach mają rację ludzie, którzy zajmują się edukacją w sektorze, nazwijmy to, prywatnym, od korepetytorów poczynając, a na Radku Kotarskim kończąc, mówiący, że nie uczy się uczyć. Ja po wielu latach edukacji nauczycielskiej na trzech różnych podstawowych poziomach (szkoła podstawowa, gimnazjum, liceum) oraz czwartym, jeśli wspaniałomyślnie uznamy, że studia doktoranckie przygotowują do dydaktyki akademickiej (*spoiler alert:* nie przygotowują), mogę powiedzieć, że jedyną formą, jaką poznałem, był wykład. Jeśli osobom studiującym pedagogikę przedstawia się inne metody nauczania tylko w taki sposób, to jaki jest dla nich przekaz? „Nawet jeśli mówimy o innowacyjnych technikach w pedagogice, to i tak sprawdza się wykład, więc ja też go wykorzystam!”. To jest bardzo proste podświadome oddziaływanie na człowieka. Póki wykład będzie się utrzymywał, póty ten transmisyjny model przekazywania wiedzy też się nie zmieni.

M: Jaki system przekazywania wiedzy preferujesz?

K: Przez to, że miałem dużo doświadczeń w pracy

zespołowej nad różnymi projektami, wolę warsztat, ale jestem bardzo odosobniony w tym, jeśli chodzi np. o wszystkich kulturoznawców i literaturoznawców. Na moim wydziale to jest metoda dominująca, dlatego że większość ludzi zatrudnionych na AGH i tak ma swoje własne firmy, gdzie po prostu ta metoda się sprawdza.

Gosia: Niestety jako korepetytorka przyznaję, że dzieciaków nie uczy się uczyć. Gdy przychodzą do mnie na korepetycje, przez co najmniej pierwszy miesiąc uczę je, żeby ze mną pracowali przy robieniu zadań, bez tłumaczenia wszystkiego od początku.

K: Bardzo dobra metoda, sam ją stosuję na seminariach dyplomowych i cieszę się, że to działa na wszystkich poziomach. Jestem strasznym przeciwnikiem jechania po korepetytorach w Polsce, ponieważ prawda jest taka, że większość z nich dostawczy problem pt. „trzy tygodnie do matury i nie wiadomo, co zrobić”, stosuje bardzo innowacyjne techniki pedagogiczne, bo musi, natomiast ludzie w szkole nie muszą, więc ich nie stosują. Mam też takie doświadczenia z ludźmi przychodzącymi do mnie na zajęcia, którzy nie sprawdzają, dopóki nie dostaną na tacy jakiegokolwiek informacji i ciężko jest to przewyciężyć. Też masz takie doświadczenie?

G: Jest tak, niestety. Podczas korepetycji staram się uświadomić uczniom, że „hej, poza podręcznikiem tu masz taką stronę, możesz sobie sprawdzić różnicę między tym a tym”, pokazuję różne filmiki, ale jest z tym bardzo ciężko. Co jeszcze lepsze, moja mama jest nauczycielką i próbuje czasami robić dokładnie to samo.

K: No właśnie, dlatego myślę, że to jest taka pierwsza główna kompetencja, którą dzisiaj powinniśmy mieć. Ja sam nie mam jej doskonale wykształconej, sam się cały czas uczę wyszukiwać informacji i korzystać z nowszych narzędzi do tego. Już np. widzę, że jestem za krótki na wymyślanie kreatywnych promptów dla AI, ludzie na streamach robią to o wiele lepiej niż ja, dlatego to jest pewien obszar, który muszę opanować, ale przeraża mnie to, że taka ciekawość świata i zainteresowanie tym, by dowiedzieć się czegoś, czego się nie wie, nie są dziś zbyt powszechne.

G: Niestety istnienie obecnego systemu sprawia, że tłamsi się kreatywnych nauczycieli. Przyrównywanie do średniej jest i u nauczycieli, i uczniów.

K: Zgadza się, sto procent racji! Jest kupa megakreatywnych ludzi, którzy po prostu nie wytrzymują.

Ja też w którymś momencie będę musiał zredukować sobie etat – nie dlatego, że chcę, tylko dlatego, że siły w tej branży się bardzo szybko wyczerpują. Potrzeba dużej rotacji i to jest, moim zdaniem, przejaw dojrzałości nauczycieli, gdy w którymś momencie mówią sobie „dość”. Problem polega na tym, że na ich miejsce nie ma następnych, choć rotacja na stanowiskach dydaktycznych nie jest niczym złym, co pokazują Stany Zjednoczone. Amerykanie mają fatalnie zorganizowaną edukację, poza systemem ewaluacji (i m.in. nauczaniem kolegialnym). Tam nauczyciel, który kilka razy zostanie źle oceniony, traci swoje zajęcia i dostaje następne. Jeśli i te są źle oceniane, to się go usuwa z uczelni, a potem Wojna Idei pisze, że zostali usunięci za poglądy (*śmiech*). To nieprawda. Zwykle jest tak, że przy zwolnieniu to jest już kolejny *strike*, bo już któryś raz zauważono, że jest u kogoś problem na zajęciach, w związku z czym po prostu się kończy kontrakt. To są bardzo czytelne, twarde zasady. Tak, czasem prawoskrętne, czasem lewoskrętne, ale za każdym razem chodzi o to samo: studenci *en masse* mówią „Nie życzymy sobie tego”, a uczelnia, traktując ich jako klientów, mówi: „Ok! W takim razie dajemy drugą szansę, a potem *out*”. I to jest zdrowe, tak samo jak przymuszenie nauczycieli do częstego rotowania między szkołami na Zachodzie, bo panuje przekonanie, że jeśli ktoś jest zdolny, to jest na wielu uczelniach.

M: Wracając jeszcze do wątku sposobów nauki, od wielu lat uczniowie najczęściej wybierają tzw. metodę papugi, czyli powtarzanie wszystkiego na pamięć w myśl starej zasady trzech „Z”: zakuć, zdej, zapomnij.

K: A jednak to jest dla nich skuteczna metoda. Uczą się takich niepotrzebnych w życiu bzdur, że po prostu się przystosowują, to jest najprostsza adaptacja. Ja np. nigdy tego nie umiałem i dlatego nie udało mi się zdobyć zbyt wiele PUNKCIKÓW na maturze, co było moim powodem pójścia na olimpiadę, która jest takim ostatnim bastionem, nazwijmy to, starej edukacji. W tym konkretnym przypadku stare jest lepsze, dlatego że cały system, który zaczął być wprowadzany jeszcze za czasów Ryszarda Handkego, jest systemem testowym, a systemy testowe nigdy nie sprawdzają wiedzy, tylko weryfikują umiejętność wybierania dobrej opcji pod wpływem stresu. Podam własny przykład: gdy ostatnio grałem w *Diablo IV*, ludzie się strasznie śmiali, ponieważ nie byłem w stanie powtórzyć prostej sekwencji zapalających się kryształów i tłumaczyłem, że w ogóle nie mam do tego pamięci. Kiedyś ludzie nie zdawali sobie nawet z tego sprawy, myśleli, że mam problem z jakimiś abstrakcyjnymi treściami, a ja zawsze miałem z tym kłopot na takim bardzo elementarnym poziomie. Dlatego

testy były dla mnie blokadą totalnie nie do przejścia, niezależnie czy to był test na prawo jazdy, czy test na wiedzę, z czego mam dzisiaj doktorat (co jest trochę abstrakcyjne). Dużo ludzi się jednak przystosowuje do tego i zasada „zakuj, zdaj, zapomnij” przez długi czas działa.

M: Ale w końcu to przestaje działać, prawda?

K: Taki sposób myślenia przestaje działać w bardzo przykrym momencie, tj. wtedy, gdy idziemy do pracy. Dotyczy to zwłaszcza pracy w sektorze kreatywnym, choć nie tylko, bo rozwój AI sprawia, że w ciągu 10–20 lat będziemy mieć do czynienia z zawodami o wysokim stopniu profesjonalizacji, a każdy taki zawód, niezależnie czy to będzie architekt, biotechnolog czy nawet językoznawca (bo będzie się, np. zajmował w większym stopniu badaniem języka naturalnego i sposobami konwersacji z modelami generatywnymi) już będzie potrzebować znacznie wyższych kompetencji niż przedstawiciel takiego samego zawodu 10 lat temu. Współczuję ogromnie pokoleniom, które obecnie się uczą i będą się uczyć (zwłaszcza wchodzącym teraz do szkół), ponieważ, moim zdaniem, nie było takiej sytuacji w historii ludzkiej cywilizacji, gdy mielibyśmy do czynienia z systemem tak bardzo nieprzystającym do realiów. Obecnie mamy system XIX-wieczny, który nie przystawał już do XX-wiecznego, a w przeciągu ostatnich pięćdziesięciu lat postęp technologiczny z XX. na XXI w. był wyższy niż w ciągu ostatnich dziesięciu wieków.

M: Niedawno na stronie TOK FM ukazała się rozmowa z przedsiębiorcą Marcinem Staniszewskim, który w dość ostrych słowach wypowiedział się nt. pokolenia Z, czyli osób urodzonych po 1995 roku, wytykając im, że nie są ambitni i nie doceniają pracy, bo nie chcą harować 16 godzin dziennie, nawet w weekendy (za te wypowiedzi zresztą oberwało mu się od wielu komentujących, również takich z rocznika wspomnianego rozmówcy). Odnoszę wrażenie, że jest to trochę połączone z naszym systemem edukacji, w którym zawala się uczniów tyłoma obowiązkami i zostawia z tak niską ilością czasu na ich ogarnięcie (nie mówiąc już o odpoczynku i własnych zainteresowaniach) tylko po to, by przyzwyczaić ich do właśnie takiego szkodliwego dla zdrowia psycho-fizycznego trybu pracy.

K: Rozmawiałem kiedyś z Chief Technology Officerem z Tesco, odpowiedzialnym za obszar innowacji B+R, czyli badania i rozwój. Powiedział mi wtedy, że wprowadzają „wiele innowacji w oparciu o modele sztucznej inteligencji”, bla, bla, bla (gadał o tym 20 minut), więc odpartem mu, że w takim razie powinniśmy posłuchać

ojca kapitalizmu, czyli Henry’ego Forda, i spełnić jego obietnicę o skróceniu tygodnia roboczego z pięciu do czterech dni pracy, skoro wprowadzane są tego rodzaju innowacje. Mój rozmówca spojrział na mnie, po czym wybuchnął śmiechem. Wydaje mi się, że to jest bardzo dobre podsumowanie tego wątku, bo dobrze pokazuje, że idziemy w absurdalnym kierunku: im więcej mamy możliwości technologicznych, tym więcej zapieprzamy i dotyczy to absolutnie wszystkich sektorów, także sektora naukowego. Dobrym przykładem są tu nauczyciele, którzy dostają bardzo dużo ponadprogramowej robótki w stylu tych wszystkich teściaków, egzaminów próbnych itd., a następnie sami sobie dokładają pracy, robiąc kartkóweczki, klasóweczki, których robić nie muszą, bo wedle polskiego prawa należy wystawić tylko ocenę końcową, a reszta to tzw. oceny kształtujące, które są feedbackiem. Jest niewiele szkół, które oceniają opisowo, stosując to nowoczesne – a tak naprawdę wpisane w polskie prawo lat 90. – podejście. Wydaje mi się, że tu leży pies pogrzebany; tzn. kompletnie nie rezygnujemy z dokręcania śruby każdemu pokoleniu i nie widzimy np. tego, o czym się w tej chwili bardzo dużo mówi w Stanach, czyli tego, że generacja X oraz millenialsów są dobre do zarządzania (widzę to też po sobie, bo rzeczywiście uczyłem się różnych kompetencji zarządczych w firmie, w której pracowałem i łatwo mi to przychodzi). Stuprocentowo się jednak zgadzam z tym, że młodsze pokolenia są zajebyście w dowożeniu tasków zdalnie.

M: Jak więc dziś powinno się organizować pracę?

K: Model pracy, który dziś jest rekomendowany przez innowatorów, brzmi następująco: małe biuro (oszczędność na miejscu), w którym siedzi kadra zarządcza i organizuje ludziom zadania, a reszta siedzi u siebie w dobrych warunkach i dowozi, spotykając się z zespołem tylko wtedy, kiedy chce. To jest model, który zapewne w Polsce potraktowalibyśmy jako ekskluzywny i luksusowy, który absolutnie nie jest normą, i zaznaczam, że mówię zarówno o obszarze edukacji, jak i pracy. W takim modelu pracujemy mniej, ponieważ np. ucinamy dojazdy, redukujemy czas pracy i jesteśmy bardziej kreatywni, więc w jednostce czasu robimy więcej. Niestety nawet względem dorosłych ludzi przykładą się taką samą miarę, jak względem uczniów w podstawówce, mianowicie: „No tak, oni będą teraz oszukiwać” – a to jest kompletna abstrakcja! Nie da się oszukać, jeśli masz dowieźć *milestone*, czyli osiągnąć kamień milowy w projekcie! Jeśli zostanie to zrobione, to mnie już nie interesuje, czy to zostało osiągnięte za pośrednictwem Midjourney, chata GPT 4 i własnej kreatywności osoby u mnie pracującej, czy też w stu

procentach osoby, która u mnie pracuje, która jest genialna i jest w stanie w godzinę zrobić coś, co ktoś inny jest w stanie zrobić w cztery godziny, wykorzystując przy tym różnego rodzaju narzędzia. I w jednym, i w drugim przypadku, z perspektywy osoby zarządzającej, interesuje mnie tylko to, że dostałem to, czego chciałem.

M: No właśnie, a zamiast tego zawala się młodych toną szkodliwie uciążliwej pracy, która odbija się potem na ich zdrowiu psychicznym.

K: Elastyczność pracy nie jest czymś trudnym do osiągnięcia, czego największy test empiryczny w historii mieliśmy podczas okresu pandemii. Żadni naukowcy nie byli w stanie zrobić wcześniej testu empirycznego na populacji rzędu kilku miliardów, bo nawet badania społeczne, badania socjologiczne uwzględniają (np. te IPSOS-u), próbę 10 tys. jako dużą próbę statystyczną. Teraz mieliśmy próbę statystyczną 180 tys. przy badaniu zdrowia psychologicznego młodych ludzi UNAWAZY, nad którym dyskutowano również w zakresie metodologicznym (bo oczywiście łatwiej jest mówić o tym, a nie o dużej próbie). Choć już wcześniej wiedzieliśmy, że jest problem generacyjny ze zdrowiem psychologicznym, badanie to dało podkładkę dla wszystkich, którzy do tej pory mówili o tym z własnego doświadczenia. Jako dydaktyk z dziesięcioletnim stażem, byłem jedną z tych osób, która mówiła o tym już w pierwszym roku pandemii. Mówiłem wtedy, że wszyscy wykładowcy powinni iść na terapię, by nie rzutować swoich problemów pandemicznych na młodych ludzi. Dobrze wiemy, jak to się skończyło: nikt nie poszedł na terapię, a problemy były nie dość, że przekładane na uczniów, to jeszcze obciążano nimi nauczanie zdalnie, uskuteczniane przez nauczycieli, którzy nie umieli uczyć w ten sposób. Mamy dziś wielki problem, by udowodnić bardzo dużej grupie ludzi, że obecny system pracy, stawiający zapierdół ponad odpoczynek, jest toksyczną spiralą, z której się bardzo ciężko wyrwać, powodującą pracoholizm, alkoholizm, problemy rodzinne, problemy ze związkami itd. Przeraza mnie to o tyle, że wszyscy winę za to zrzucają na media społecznościowe. Nie jestem przekonany, czy taka relacja jest bezpośrednia.

M: Problemy wciąż narastają, jednak, co istotne, rodzice w większości zdają się ich nie zauważać. Wielu z nich wciąż negatywnie reaguje na jakiegokolwiek próby zmian czy choćby rezygnacji z ocen liczbowych, bo bardziej interesują ich piękne cyferki niż faktyczne rezultaty nauki.

K: Przechodzisz do kluczowego problemu: rodzice i ich podejście do dzieciaków jest katastrofalne. Główny argument na rzecz tego, że np. edukacja powinna zaczynać się o 7:00 albo o 8:00 (a zwrócę uwagę, że np. w Wielkiej Brytanii pracę zaczyna się o godz. 10:00, gdzie w samym Londynie generuje się więcej PKB niż w Polsce), jest to, że dziecko trzeba odwieźć do szkoły jak worek ziemniaków, a później odebrać dokładnie o tej samej porze, w której kończy się swoją szychtę w pracy. To są bardzo problematyczne naczynia połączone. Gdy moja mama robiła profesurę na AGH (co nie było w tamtych czasach proste, zwłaszcza dla kobiety), była w stanie jednocześnie mi czytać do 6. rż. i później cały czas wspierać mnie w edukacji. Dlatego rzekłbym, że mam niską tolerancję wobec ludzi, którzy nie są kobietami, robiącymi habilitację na uczelni technicznej i robiącymi wielomilionowe wdrożenia w przemyśle (więc realnie wpływającymi na PKB, w odróżnieniu od niektórych Mentzenów) i twierdzących, że tak się nie da. Dzieci to jest odpowiedzialność i jeśli bierzesz taką na siebie, to nie można traktować szkoły jako miejsca, do którego po prostu wrzuca się dziecko i już nic innego nas nie interesuje. To jest recepta na katastrofę. Myślę, że gdybyśmy mieli inne podejście również do pracy, edukacja domowa byłaby czymś o wiele bardziej intuicyjnym, bo tak naprawdę niewiele dziś do niej trzeba. To nie jest kwestia tego, jak niektórzy sobie wyobrażają, że rodzic musiałby przez osiem godzin siedzieć z dzieckiem nad zeszytem i podręcznikami, bo istnieje Internet – można mieć innego nauczyciela co pięć minut przy odpowiedniej tego organizacji, bez najmniejszego problemu, co pokazują różne organizacje i fundacje w Polsce. Swoją drogą, jestem bardzo ciekaw wyników matur z edukacji domowej, bo jeśli będą nawet zbliżone do wyników z tradycyjnej formy egzaminu, to w tym momencie będziemy mieli dowód na to, że szkoła jest po prostu niepotrzebna jako instytucjonalny wymiar miejsca, do którego się idzie po to, by przyswajać wiedzę.

M: Jaka powinna być szkoła?

K: Rozmawiałem dziś na ten temat z Arturem Kurasińskim (ta rozmowa będzie dostępna na kanale Bunkier Nauki). Szkoła powinna być swego rodzaju hubem – przychodzisz do miejsca, w którym masz się zainteresować nauką, innowacją itp. Trochę tak, jak np. Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, do którego przychodzą dzieciaki i dorośli i wszyscy się bawią jednakowo dobrze. Tak wygląda szkoła w Norwegii, w Finlandii, w Danii, w Singapurze. Tak, to są kraje, w których edukacja jest właściwie dofinansowana, ale

jeśli w Polsce potrafimy mieć 4% PKB na zbrojenia, bo taka jest potrzeba, to myślę, że przy tej samej presji społecznej jesteśmy w stanie mieć i wyższe PKB na edukację. Zwrócę uprzejmie uwagę, że prawdopodobnie edukacja wówczas może być nawet tańsza. Obecnie system organizacji matur i wszystkich tego rodzaju przestarzałych technik, cały rynek podręczników papierowych itp. generują nieprawdopodobne ilości pieniędzy i zapotrzebowań budżetowych, już nie mówiąc o utrzymaniu tak dużej liczby placówek oświatowych, w tym uniwersytetów. Jak myślicie, ile jest w Polsce uczelni wyższych?

M: Być może mocno zaniżę. Ponad 100?

K: Tyle to byłoby jeszcze sensownie. Są 362, a i tak nie wliczam tu niektórych PWSZ-ów. Jest tak, dlatego że przez wiele lat była dotacja na głowę studenta, czyli takie pogłówne, jak przy liczeniu bydła. W związku z tym otwierały się nowe uczelnie w miejscach, które tego nie potrzebowały, no bo wiadomo, pieniądze szły z góry, więc ludzie stwierdzili, że się nachapia. Miało to jeszcze taką zaletę, że jeśli jesteście rektorem Wyższej Szkoły Picia Mleka w Puttusku, to możecie sobie założyć dodatkowo piękne gronostaje i łańcuch. Od razu zrodziło się wtedy większe zapotrzebowanie na profesorów, doktorów i tak to eskalowało, więc trudno się dziwić, że np. nie ma pieniędzy na to, by zająć się studiującą osobą wystać za granicę na drogę stypendium, bo zwyczajnie fundusze są przejadane na bzdury. Właśnie dlatego myślę, że gdyby edukacja w większym stopniu korzystała ze zdobyczy nowej technologii (oczywiście kompromisowo, bo nie każdy ma możliwość zdalnego uczenia się), to byłaby bardziej sensowna i mogłaby przynieść realne oszczędności. Musimy się tylko pogodzić z (prawdopodobnie nieatrakcyjną dla wielu osób) perspektywą, że studia czy liceum nie są dla wszystkich. Fajnie, by np. ludzie z zainteresowaniami technicznymi szli do technikum i nie mieli poczucia, jakby to było coś gorszego. Albo jeszcze lepiej: gdy ktoś chce założyć własny biznes już na poziomie szkoły, niech to zrobi bez poczucia „ach, muszę wcześniej zdać maturę!”

M: No tak, ale wciąż w społeczeństwie pokutuje przekonanie, że z magisterką w CV lepiej się wygląda.

K: Kiedyś na rozmowie kwalifikacyjnej do firmy, która miała siedzibę w Australii, usłyszałem, że oni bardzo chętnie by mnie zatrudnili, ale mam doktorat, więc tego nie zrobią. Gdy spytałem ich dlaczego, odpowiedzieli: „nie no, przecież jeśli masz doktorat, to masz prawo zażądać cztery razy większą pensję, a my tyle nie mamy”.

Pomyślałem sobie wtedy, że mam tytuł naukowy, z którego jestem w chuj dumny, ale który jednocześnie jest przeszkodą na rynku pracy. Nie mówię, że tak samo będzie z magistrami, ale doktoraty kiedyś nie były tak powszechne. Ten tytuł się mocno zdewaluował i myślę, że tak samo będzie z tytułem magistra. Dużo ludzi też popiera podział studiów w systemie 3+2, choć ja sądzę, że jest on niesłuszny, szczególnie w medycynie, gdzie studia skrócono wtedy o rok. Ta decyzja była katastrofalna, bo był to głównie rok praktyk medycznych, więc możemy się domyślać, jakie to już ma konsekwencje (jedną z nich jest np. to, że na prywatny zabieg jestem umówiony od pięciu miesięcy).

Mikołaj: Staż nie wlicza się do studiów. Od bardzo długiego czasu jest sześć lat. Natomiast przed stażem lekarze mają ograniczone prawo wykonywania zawodu.

K: OK! Tyle dobrze... Wracając do tematu, myślę, że w pewnym momencie pracodawcy przestaną myśleć kategoriami tytułów naukowych i ludzie obudzą się z ręką w nocniku, żałując, że spędzili na studiach pięć lat zamiast trzech. Swoją drogą, zawsze mnie bawi przekonanie, że jesteśmy w stanie zbudować prestiż studiów, jeśli dostajesz się na nie z maturki. Dla porównania prestiż Oxfordu nie polega na tym, że jest polany kwasem jak Yale, żeby wyglądać staro. Rekrutacja tam trwa siedem miesięcy, trzeba napisać esej i dobrze wypaść podczas rozmowy. Oczywiście, są tam też egzaminy, ale trzeba mieć coś więcej niż tylko wysoki wynik.

M: Na które studia, Twoim zdaniem, warto pójść: na publiczne czy na prywatne?

K: Nie ma to żadnego znaczenia. Uczelnię wybiera się ze względu na człowieka, który tam uczy. Jestem bardzo niezadowolony ze studiów, na jakie poszedłem, ale mimo wszystko mój wybór był dobry w tym sensie, że dostałem możliwość kontaktu z ludźmi, których do dzisiaj szanuję, np. prof. Anną Burzyńską, która mnie nauczyła filozofii. Swoją specjalność wybrałem tylko dlatego, że ona tam była. To jest, myślę, kluczowa kwestia, bo nawet jeśli jesteśmy na studiach, z których jesteśmy ekstremalnie niezadowolony, to jeżeli wybieramy je ze względu na konkretny temat lub prowadzącego, gwarantujemy sobie, że przynajmniej ten jeden ich fragment będzie dla nas satysfakcjonujący. Jeśli jednak pójdziemy na nie tylko dlatego, że była fajna informacja w prospekcie albo dlatego że uczelnia jest wysoko w rankingu, to nie będzie już tego jednego handicapu, że przynajmniej coś, co odkryliśmy, jest fajne.

M: Jak więc powinno się wybierać uczelnię?

K: Zawsze sprzedaję swoim studentom prosty sposób: mianowicie pójść na zajęcia (są otwarte i można wpaść na uczelnię nawet jako licealista) lub na dzień otwarty i zrobić sobie *research*, tzn. przejść się na parę dyżurów np. pod pretekstem olimpiady, zorientować się, jacy ludzie pracują na konkretnym wydziale. Bardzo to polecam, bo na uczelni liczy się człowiek, interakcja z konkretnym człowiekiem. Erasmusy też są rzeczą, którą warto sprawdzić, zwłaszcza pod kątem umów partnerskich z innymi uczelniami. Dopiero na końcu powinno się rozpatrywać studia pod kątem publicznych/prywatnych. Na uczelniach niepublicznych płaci się za czesne, ale studia prywatne nie są na pewno co do zasady lepsze od państwowych. Nie uważam, by rozwiązywały one wszystkie problemy, natomiast mogą być alternatywą w sytuacji, gdy pracuje tam ktoś naprawdę wybitny, ma osiągnięcia, uczelnia ma dobre współprace zagraniczne i daje perspektywy rozwojowe studentom. Jak mówiłem, wystarczy wejść na wykład, zobaczyć, jaka jest frekwencja (a jeśli jest pełna sala, to z jakiego powodu), interakcja między studentami a prowadzącym itp., a potem pogadać sobie z ludźmi. Sam jestem introwertyczny, więc jedynie przechadzałem się i podstuchiwałem, ale to już samo w sobie dało mi więcej informacji, niż zaufanie komukolwiek w kwestii wybitnego poziomu jakichś studiów.

M: Masz jakieś rady dla przyszłych studentów?

K: Moja rada dla wszystkich studentów jest taka, by już na pierwszym roku, nie czekając na to, kiedy będą praktyki w siatce godzin (bo – *spoiler alert* – to będą praktyki w jakichś żenujących firmach, które współpracują z uniwersytetem od 30 lat, a niektóre z nich, wypisane na liście dostępnych w uczelniach polskich, w praktyce nie istnieją), pójść na własne praktyki, rozejrzeć się za czymś. Nawet jeśli będzie to oznaczać, że z kilku przedmiotów dostanie się 3.0, bo nikt tak naprawdę nie patrzy na oceny na dyplomie. Nawet ja, podczas rekrutacji na stanowisko adiunkta, byłem pytany jedynie o treść pracy doktorskiej, moje publikacje i granty, a jeśli uczelnie nie są zainteresowane ocenami, to pracodawca, w najlepszym wypadku, spojrzy na logo na LinkedInie. Dla przykładu, jeśli ktoś ma logo Stanforda, bo zrobił sobie kurs dwumiesięczny, a inna osoba ma logo UJ, bo chodziła na studia pięć lat, to naprawdę myślicie, że ktoś ich będzie rozliczał z ocen? Pracodawca zobaczy na profilu logo Stanforda i pomyśli: „o, to jest lepsze!”, mimo że zajęło to mniej czasu, był to kurs wakacyjny

i prawdopodobnie zgodny z zainteresowaniami. Swoją drogą, dobrze wiemy jak wyglądają studia: 40% przedmiotów to zwykłe fillery, bo siatka studiów projektowana jest tak, że nie mamy nigdy idealnej kadry i nie chcemy zatrudniać dodatkowych osób tylko dlatego, że brakuje nam ekspertów, więc zlecamy dodatkowe przedmioty komuś, kto ma za mało godzin.

M: W swoim materiale na temat rywalizacji bardzo krytykowałeś kompetytywność, np. w konkursach i olimpiadach, natomiast według mnie takowe mogą być sprawdzianem naszych umiejętności, częścią samodoskonalenia i kształtowania kompetencji, jeśli konkurencja będzie oparta na zdrowych zasadach.

K: Przede wszystkim musimy odróżnić rywalizację od konkurencji. Konkurencja jest zdrowa, ponieważ jej celem jest osiągnięcie celu, którym nie jest konkurencja sama w sobie, rywalizacja zaś jest toksyczna, ponieważ bardzo często chodzi w niej o bycie lepszym od innych, ale nie w czymś konkretnym, tylko w ogólnym rozumieniu. Jeśli ktoś bierze udział w konkurencji np. sportowej i będzie się skupiał na tym, by być lepszym od swoich konkurentów, bardzo możliwe, że się w którymś momencie potknie. Większość sportowców, którzy zdrowo podchodzą do swoich dyscyplin, podpisują się pod tym, podczas gdy np. w polskiej piłce cały czas jest nastawienie, by być lepszym od wszystkich i widzimy, jak się to kończy (*śmiech*). W edukacji natomiast nigdy nie może chodzić o to, by być lepszym od drugiej osoby. Jest ona bardzo egoistycznym procesem, chodzi w niej o to, by jak najwięcej dla siebie zebrać. Potrzebujemy nauczyciela, przewodnika, a nie nadzorcy, który nas będzie ciągle porównywał z innymi, zwłaszcza że społecznie jesteśmy znakomicie przystosowani do tego, aby patrzeć na innych w każdej dziedzinie życia, porównując swoje dzieci, samochody, stan konta itd. Porównywanie jest rakiem, który do niczego dobrego nie prowadzi. Jeśli chodzi o konkursy i zmagania edukacyjne, ja np. startowałem w olimpiadzie nie dlatego, żeby być lepszym od swoich koleżanek i kolegów z klasy, tylko dlatego, żeby mieć wyjazd na studia albo żeby się sprawdzić, czy będę w stanie to zrobić. Autentycznie mnie to cieszyło! Obecnie od sześciu lat staram się o stypendium ministra dla młodych naukowców i przez ten czas nauczyłem się nie zaglądać na listę osób kwalifikowanych do tegoż, widząc, że rodziło to we mnie jedynie frustrację, zwątpienie w siebie i niechęć do dalszej pracy nad sobą. Są jednostki, które się nie przejmują, ale w skali systemowej w przytłaczającej większości są ludzie borykający się z problemami psychologicznymi właśnie z powodu braku poczucia

własnej wartości.

M: Na kanale często mówisz także o wartości ocen opisowych. Muszę przyznać, że sam doświadczyłem ich kształtującego wpływu, gdy podczas powiatowego konkursu poezji w szkole średniej każda osoba uczestnicząca (w tym ja) otrzymywała od pewnej polonistki, organizatorki konkursu, osobisty list z uwagami i odczuciami nt. przesłanych wierszy.

K: Ta nauczycielka fachowo was oceniała. Według ustawy prawo oświatowe z lat 90., mamy mieć ocenę kształtującą. To idiotyczny termin, ale chodzi w nim o to, że cały czas mamy dostawać informację zwrotną: „to jest ok, nad tym jeszcze musisz popracować. Tamto super, lepiej niż ostatnio, ale jeszcze musisz zrobić to”. Konkret! Obecnie siedzę nad pracami dyplomowymi i poprawiając jakiś błąd, zawsze wyjaśniam w komentarzu, dlaczego albo daję link. Najczęściej stosuję przypis *non sequitur* w sytuacji, gdy jedno zdanie nie wynika z drugiego – objaśniam znaczenie błędu przy pierwszym użyciu i potem jedynie powtarzam tę frazę. Gdybym za każdym razem pisał tylko „błąd” albo „źle”, to oceniałbym w sposób patologiczny, bo w niczym nie różni się od +/- 1, 20%, 37.5% itp. Fundamentalny jest problem ze zrozumieniem tego, w jaki sposób ludzi się nie tyle ocenia, ile feedbackuje. To kolejna rzecz, której możemy uczyć się od dobrego biznesu, a która funkcjonuje w dobrze prosperujących zespołach – żeby mieć dobry team, manager musi swoim współpracownikom komunikować, co konkretnie robią dobrze, a co źle. Wtedy nie ma wątpliwości, dlaczego z czymś jest problem, co widzę, chociażby po pracy z moimi studentami na wspólnej tablicy w Trello, dzięki której nie ma już takich sytuacji, gdy jest słowo studenta przeciwko słowu prowadzącego, bo wszyscy wszystko widzą. Na podstawie feedbacku można jasno stwierdzić czy kogoś nadal utrzymywać w zespole albo, czy można zaliczyć jakiejś osobie seminarium. Jeśli ktoś czegoś nie dowiódł, to po prostu tego nie dowiódł. Nie jest debilem, nie jest idiotą (a słyszałem od studentów, że takie teksty od prowadzących się zdarzają) – po prostu nie dostarczył i tylko tyle. Właśnie dlatego to nie powinno być wartościowane, a ocena liczbowa sprawia, że tak się dzieje. Błąd jest uznawany za coś złego, zamiast coś, z czego jesteśmy w stanie zbudować coś dobrego, z czego możemy wyciągnąć wnioski albo coś, co jest po prostu informacją o braku.

M: I dlatego, według mnie, o wiele lepsze byłoby zastąpienie systemu ocen zwykłymi zaliczeniami.

K: Oczywiście. Nie będę ukrywał, że obecny system utrudnia mi też robotę (przyznaję, że swoją kruczającą toczę także z egoistycznych pobudek – jak wspominałem, egoizm w edukacji jest dobry), bo dawanie ludziom feedbacku podczas całego roku akademickiego, gdy trzeba pisać recenzje opisowe i jeszcze potem, gdy muszę po trzy razy wpisać te same cyferki w USOS-ie (z wykładu, zaliczeniową i z egzaminu), zajmuje mi naprawdę dużo czasu. Kiedyś to obliczyłem i ustaliłem, że schodzi mi na to kilkadziesiąt godzin w ciągu roku! To jest kilkadziesiąt produktywnych godzin, za które ktoś mógłby mi zapłacić słone pieniądze i mógłbym w tym czasie zrobić jakieś szkolenie, napisać artykuł naukowy, przygotować grant, pojechać na konwent... Ktoś mógłby powiedzieć: „no ale Krzysztofie, sam sobie to robisz, mógłbyś olać sprawę, dać ludziom test i po prostu wpisać punkty”. Zgodzę się, czasem nawet nie mam innego wyjścia, ponieważ systemy do robienia egzaminów zdalnych są wyłącznie takie, że można punktować pytania. Rozwiązuję to w ten sposób, że ów system trolluję, robiąc pytania złośliwe, ironiczne albo śmiejące się z pytań. Lubię zwykle robić takie, w których każda odpowiedź jest poprawna, a treść brzmi np. „Dlaczego testy nie mają sensu?”. Z jednej strony to jest zabawne, z drugiej pokazuje, jak bardzo system jest idiotyczny, ale z trzeciej to jest trochę strata czasu i wszyscy doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

M: Skoro już jesteśmy przy ocenach opisowych, w jaki sposób powinniśmy formułować prawidłowy feedback?

K: To jest bardzo trudna sztuka. Najciężiej jest napisać komuś, że np. do czegoś kompletnie się nie nadaje – tego się nie pisze, dużo lepiej jest umówić się z kimś na rozmowę i o tym pogadać. Jeżeli jest jakiś tekst do sfeedbackowania, wtedy najprościej nie używać drugiej osoby liczby pojedynczej, nie używać form „popraw”, „źle zrobił*ś” itd. Zamiast zwracania się per „ty” lepiej napisać „to jest błędne, bo...” i podać źródło albo „tu fajnie byłoby rozbudować o...”, „osobiście zrobiłbym to tak...”. Mówiąc cały czas w pierwszej osobie liczby pojedynczej albo bezosobowo, macie w ten sposób większą szansę na to, że osoba, którą feedbackujecie, nie poczuje się oceniana, nie poczuje się źle, ale i tak przy tym należy robić niezależnie pracę psychologiczną – wyjściowa sytuacja jest taka, że ludzie mają się za zera, niestety.

M: Na sam koniec: czy wierzysz w to, że jakkolwiek system edukacji może zostać zmieniony odgórnie?

K: Na pewno nie wierzę w to, by na poziomie ministerialnym dało się cokolwiek zrobić, bo

z perspektywy ministerstwa to jest wygodne; tam jest armia urzędników, którzy nawzajem uzasadniają potrzebę swojego istnienia (dyrekcja jest potrzebna, bo jest kuratorium, kuratorium istnieje, bo jest ministerstwo itd.). Nie da się tam wejść i wszystkiego przeorganizować, to są ludzie, ich praca, utrzymanie, rodzina – ciężka sprawa. Mówię to też z perspektywy człowieka, w którego dalszej rodzinie byli też ludzie z tego szczebla administracyjnego w edukacji, i to nie jest tak, że oni nie chcieli niczego zmieniać – wprost przeciwnie.

Tak samo na poziomie uczelnianym ktoś, kto zostaje rektorem albo dziekanem, nie ma żadnej władzy, mogąc się cieszyć tylko tym, że mówi, a ludzie go muszą słuchać (ale to, czy oni go wtedy naprawdę słyszą i wdrażają jego rady, to jest już inna rzecz). Osobiście uważam, że jedynym sposobem na to, by cokolwiek się zmieniło, to działalność oddolna różnych ludzi oraz presją, w tym presją studencką, bo studenci muszą sobie zdawać sprawę, kiedy jest *bullshit* na uczelni.

Uczniowie mają o wiele mniejsze możliwości na wywieranie presji, w przeciwieństwie do rodziców, dlatego tak ważne jest, by rodzice też zdawali sobie sprawę z tych wszystkich rzeczy. Dzisiejsi zoomerzy za moment także będą mieć własne dzieci i wtedy będą mogli coś z tego wdrażać, więc to, że tę dyskusję mamy (i to dość głośną, co mnie cieszy), to dobrze. Szczerze powiedziawszy, nie pamiętam, aby wcześniej było tak wiele tematów edukacyjnych w przestrzeni medialnej. Wcześniej były to tylko heheszki z programu *Matura to bzdura*, który, swoją drogą, jest świetną kroniką tego, jak wcześniej traktowano system edukacji. Śmiano się z tego, a tu nie ma się z czego śmiać – to jest straszne, że egzaminy wyglądają, jak wyglądają i że nikt wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, bo gdy dzieciaki mówiły, że jest źle, rodzice im nie wierzyli, aż do czasu edukacji zdalnej, gdy zobaczyli, co się odpiędała na lekcjach. Jedni wyciągnęli wtedy wnioski, a drudzy powiedzieli, że to wina „kąkuterów”.

Dziękujemy za rozmowę!



„SPAKUJ NAS, POJEDŹMY NA HEL(GOLAND)”

Gdy zaczyna się lato, a z latem wakacje i czasu wolnego jest tyle, znów pojawia się problem, gdzie pojechać na urlop. Jeśli znudziły Wam się góry i Mazury albo w ogóle stały ląd, to można wybrać się na jakąś wyspę. A wyspy to nie tylko Majorka i Gran Canaria. Dlatego zapraszam na krótką wycieczkę po Helgolandzie (który, wbrew temu, czego można byłoby się spodziewać po nazwie, nie jest zbudowany w całości z klocków LEGO). A krótką dlatego, że tę wysepkę o powierzchni niecałych dwóch kilometrów kwadratowych można obejść w półtorej godzinki spacerowym tempem.

Na Helgoland (54°10'53"N, 7°53'10"E) dostaniecie się promem z Cuxhaven lub Bremerhaven i już po ok. 2–3 godzinach znajdziecie się na jedynej, niemieckiej skalistej wyspie. Cała wyspa to trzy ulice na krzyż, przy których znajdują się kolorowe chatki w skandynawskim stylu, które w większości stanowią letnie domki dla bogatych niemieckich emerytów. Na stałe mieszka tu 1200 osób (z czego ¼ stanowią naukowcy pracujący w Instytucie Alfreda Wegenera, który specjalizuje się w badaniach polarnych). Także wyobraźcie sobie tam mieszkać, zerwać z kimś i być skazanym na spotkanie tej osoby dosłownie każdego dnia, gdziekolwiek nie pójdziecie. A uciec też nie ma za bardzo jak, bo rowery i samochody są tutaj zakazane (z małymi wyjątkami dla listonosza czy karetki). Ale, ale, wyspiarze nie tak bardzo różnią się od Polaków w kwestii wynajdywania luk w prawie, dlatego podczas spaceru nadmorskim deptakiem można zobaczyć różne nie-rowery jak hulajnogi, monocykle czy inne bliżej nieokreślone pojazdy.

Helgoland to zdecydowanie miejsce, którego życie koncentruje się wokół turystów. Lokalny supermarket czynny jest jedynie do 18:00, bo to wtedy odpływa stąd ostatni prom. Także nici z zakupów, gdy nagle wieczorem zachce wam się jakiejś przekąski. Główna ulica pełna jest sklepów z pamiątkami i kawiarenek, gdzie polecam skosztować lody o smaku *sanddorn* (czyli rokitnika). Ta nadmorska jagoda jest znakiem rozpoznawczym północnych Niemiec i produkuje się tutaj z niej wszystko – konfitury, nalewki oraz kosmetyki.

Najbardziej charakterystyczną częścią krajobrazu jest bez wątpienia klif z ceglanego piaskowca, który jest równocześnie najwyższym punktem wyspy, i można dostać się na górę schodami lub windą. Ze szczytu roztacza się widok na Morze Północne oraz skałę *Lange Anna* (długa Anka), która odłączyła się od wyspy w wyniku erozji. I choć wydawać by się mogło, że to najspokojniejsze miejsce na świecie, to nic bardziej mylnego – ciszy tam nie uświadczycie, bo zbocza zapełnione są koloniami ptaków, wśród których znajdziecie bardzo hałaśliwe głuptaki, alki i nurzyki. Polecam wybrać się tam wieczorem, by móc podziwiać zachód słońca (tylko uważajcie, bo w momencie, gdy słońce schowa się za horyzontem, bardzo szybko robi się zimno, ale cóż, taki mają klimat). Po zejściu z klifu warto wstąpić do jednego z barów na Eiergrog, czyli trunku składającego się z rumu, cukru i utartych jajek, lub wersję lajtową, czyli piwo Jever, które jest warzone w pobliskim Bremerhaven (oddalonym o jedyne 45 mil morskich). A jeśli zajrzycie do pubu Felsenkrug, to całkiem prawdopodobne, że przy okazji usłyszycie kilka morskich opowieści i szant od starych Helgolandczyków. (Ciekawostka: na miano Helgolandczyka zasługują tylko ci mieszkańcy wyspy, którzy się tam urodzili, tak samo jak ich rodzice. A że współcześnie miejscowy szpital nie ma oddziału położniczego i dzieci rodzą się na stałym lądzie, to Helgolandczycy to zagrożony gatunek). Jeżeli za to wybierze się na plażę, która jest na północnym skraju wyspy, to jest spora szansa, że spotkacie foczkę. A po zmroku można podziwiać rozgwieżdżone niebo, na którym co kilkanaście sekund pojawia się rozbłysk światła z latarni morskiej na klifie.

Jednak oprócz uroku, wyspa ta kryje też wiele niespodzianek związanych np. z charakterem geologicznym. Między

innymi to, że jak spojrzycie na Helgoland z profilu, to jest on taki trochę jakby przekrzywiony. Jest to spowodowane nierównomiernym usytuowaniem złóż soli, które znajdują się pod wyspą. Ale wszak to Bezbek, a nie Geologia Times, więc oszczędzę dalszych szczegółów i w zamian dodam jeszcze kilka słów o historii wyspy, która jest równie burzliwa co Morze Północne zimą. W czasie drugiej wojny światowej cała wyspa została przekształcona w bazę przeciwlotniczą, przez co zwróciła na siebie uwagę sił alianckich i była obiektem licznym bombardowań. Po wojnie była w posiadaniu Brytyjskim i w 1947 roku postanowiono ostatecznie rozprawić się z Helgolandem, więc zebrano 4700 ton materiałów wybuchowych, których zdetonowanie doprowadziło do największej nienuklearnej eksplozji na świecie. Ale okazuje się, że Helgolandu nie tak łatwo się pozbyć, a to wszystko z powodu tego czerwonego piaskowca, który przez wysoką porowatość pochłonał energię wybuchu. I wyspa stoi jak stała, z tą różnicą, że teraz w centralnej jej części znajduje się ogromny krater, na którego brzegu stoi szpital.

Także przy nadarzającej się okazji, jakbyście przypadkiem byli w północnych Niemczech, przypadkiem akurat w Szlezwik-Holsztyn (tylko bez żartów historycznych), to warto wybrać się na dzień lub dwa na Helgoland, a nie będziecie rozczarowani. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Niemiecka korespondentka Bezbeka (Z Bremy, nie z Wrocławia)

Małgorzata Zora



ZADBAJ W UPAŁ O PULILA

„Gdy zaczyna się lato, a z latem wakacje” i jest niemiłosiernie gorąco, to nasze domowe pupile nie mają najłatwiej. Ochrona psa czy kota przed poparzeniem skóry, przegrzaniem czy innymi konsekwencjami jest naszym obowiązkiem.

Zwierzęta jeszcze gorzej znoszą upały niż my, a, jak wszyscy wiemy, jesteśmy wtedy jedną, wielką roztapiającą się kulą, która ma problem ze wszystkim. My możemy się zabezpieczać przed słońcem na wiele sposobów, natomiast nasze pupile skazane są na nas. Jesteśmy w pełni odpowiedzialni za ich samopoczucie i bezpieczeństwo. Jak zatem możemy zadbać o wspomniany wcześniej komfort i bezpieczeństwo naszych zwierzaków?

Wychodzenie na spacer powinno odbywać się w „chłodniejsze pory dnia”. Jeśli musimy w czasie największych upałów wyjść na szybki spacer, to pamiętajmy o tym, aby nie stymulować zwierzaka do zabaw, gdyż wysiłek połączony z przegrzanym organizmem zwierzęcia może skończyć się źle.

Jeśli Twój pies używa kagańca, to albo z niego zrezygnuj, albo dostosuj go w takim sposób, aby mógł się schładzać. Pamiętaj, że psy regulują swoją temperaturę poprzez zianie. Natomiast gruczoloty potowe posiadają na nosie i opuszkach łap, co również jest nie bez znaczenia, gdyż często wychodzimy na spacer po drogach utwardzonych, które nagrzewają się niemiłosiernie. Może to prowadzić nawet do oparzeń.

Na każdy spacer zabierz ze sobą wodę! Restauracje czy sklepy, które wystawiają wodę dla naszych pupili, są w naszej opinii bardzo *animal friendly*, jednak czy jest tak naprawdę? No nie do końca, bo zastanówcie się czy napilibyście się wody po innych z tej samej szklanki. No nie wydaje mi się. Mamy multum poidłek, składanych misek, które ułatwią nam napojenie psa na spacerze, które możemy wybrać i będzie to lepsza alternatywa.

Jak zadbać o milusińskich w domu?

Zapewnienie dostępu do świeżej wody to podstawa. Jednak warto pamiętać, żeby woda nie była bardzo zimna, bo może się to skończyć zapaleniem gardła czy krtani u zwierzaka, a tego byśmy nie chcieli.

Pomieszczenie, które mało się nagrzewa, powinno mieć uchylone drzwi, aby zwierzę zawsze mogło sobie wybrać to miejsce na odpoczynek w najchłodniejszym i komfortowym pomieszczeniu dla niego (takim jak piwnica czy łazienka).

Jeżeli zostawiamy otwarte okna czy drzwi balkonowe, to pamiętajmy o zabezpieczeniu siatką, żeby zwierzę nie pożegnało się z nami przedwcześnie. Siatkowe zabezpieczenia są ważne głównie w kocich domach, ale psi kaskaderzy też się zdarzają, dlatego uważajmy na nasze zwierzaki.

Dla wygody i lepszego schładzania możemy położyć mokry ręcznik na legowisku naszego pupila, pod warunkiem, że oczywiście lubi wodę. Czasem warto zabrać kocyk/legowisko i usadować naszego zwierzaka na ziemi, żeby mógł się szybciej schłodzić.

Dla wygody i komfortu naszych pupili powstaje wiele akcesoriów, które mają ułatwić przetrwanie upału – są to m.in.: kamizelki i maty chłodzące czy wcześniej wspomniane składane miski oraz bidony.

Unikajmy podróży, zwłaszcza tych długich. Jeśli jest to konieczność, to pamiętajmy o częstych postojach i nawodnieniu. No i temat powracający co roku jak bumerang, ale zawsze ważny i aktualny – nie zostawiaj zwierząt w samochodzie w upał! Ani na chwilę, ani z uchyloną szybą. Po prostu, jeśli nie możesz ogarnąć tematu inaczej, nie zabieraj pupila ze sobą.

Unikajmy ścinania sierści na bardzo krótko, jak również uważajmy przy niektórych rasach (jak np. grzywacz chiński – chodzi o odmianę bezwłosą) na poparzenia skóry naszego zwierzaka.

Ten okres bywa szczególnie niezdrowy i niebezpieczny dla psów ras brachycefalicznych, które są podwójnie narażone. W związku z anatomiczną budową mają utrudnioną możliwość oddychania w normalnych temperaturach. A niestety upał im w tym nie pomaga.

Ochładzanie zwierzęcia musi być stopniowe, aby nie doprowadzić do szoku termicznego, więc postępujemy jak przy oparzeniu, czyli schładzamy oparzenie letnią wodą. Tak samo zaczynamy po powrocie ze spacerku, a następnie możemy lekko schłodzić naszego pupila. Postępujemy rozważnie i z głową!

Jak rozpoznać udar cieplny u zwierzaka?

Na początku pojawi się nadmierne dyszenie, przyspieszone bicie serca oraz płytki i szybki oddech. Zwierzę zaczyna robić się niespokojne. Zacznie poszukiwać chłodnego miejsca. Do objawów, które mogą się pojawić, zaliczyć należy: wymioty, biegunkę czy apatię, ale również nadmierne ślinienie, drgawki, wybroczyny. Może również dojść do utraty świadomości. Błony śluzowe mogą stać się przekrwione i suche. Jeśli zauważysz takie objawy u swojego pupila, to nie zwlekaj, tylko udaj się do lekarza weterynarii!

Skutkami takiego przegrzania mogą być: uszkodzenie nerek, serca a w najgorszym przypadku zgon.

Korzystajmy ze słońca rozważnie i uważajcie na swoje pupile!

Mikołaj „Miki” Mazur



SUBIEKTYWNY DWUTYGODNIOWY RANKING MEMÓW

BY SEBASTIAN CZAPLIŃSKI



AUTOR: Jędrzek Skrabucha

HOROSKOP

NIEZAWODNE PRZEPOWIEDNIE BEZBECKIE 03.07-16.07

NASI WRÓŻBIARZE WZIĘLI URLOP!



BYĆ MOŻE

W KOLEJNEJ PODRÓŻY

1. 10 Karolów śmieszniejszych od Paciorka
2. Czy podróże na Księżyc są możliwe?
3. Czy kisiel tuczy?
4. Czy każde miasto ma swoją legendę?
5. Ranking Karolów ze względu na żarty
6. Czego nie odmówiłby Strasburger Karolowi?
7. Igrzyska Beki – codzienna relacja z Igrzysk Europejskich
8. Rzucamy wszystko i jedziemy w Bieszczady
9. A może nad morze? W poszukiwaniu paragonów grozy
10. Czy dziś ktoś pamięta o plaży w Stegnie?
11. Małe podróże: które województwo jest najlepsze? [RANKING]
12. Jak podróżować z partnerem i się nie rozstać?
13. Zagraniczne podróże latem czy jesienią? Która opcja jest bardziej opłacalna?
14. Jak przygotować się na podróż za granicę do Wrocławia?
15. Ile kosztuje gałka lodów nad morzem? [SPRAWDZAMY]
16. Przegląd nowych trendów w podróżowaniu
17. Góry czy morze?
18. Leniuchowanie przy basenie czy aktywne spędzanie czasu – na co warto postawić w 2023 roku?
19. Podcasty, które umiłą czas podczas podróży pociągiem
20. O czym warto pamiętać, podróżując z pupilem?

ZNAJDŹ NAS:

Magazyn Bezbek sp. niejawna
 ul. Bezbecji 25/10 lok. 1
 38-870 Wieliczka, koło Krakowa
 Tel: 0 000 000 000
 E-Mail: magazynbezbek@gmail.com
 FB: Magazyn Bezbek

WWW.MAGAZYNBEZBEK.PL

AUTORZY NUMERU:

ZAŁOŻYCIELKA: Urszula Skorodzitło

KOREKTA: Maja Tobiś, Sebastian Czapliński, Lena Śniadała

SKŁAD I EDYCJA TEKSTU: Sebastian Czapliński

GRAFIKA: Marysia Bolek, A. Jankowiak

AUTORZY: M. Matłok, Mikołaj Mazur, A. Jankowiak, Adus, Małgorzata Zora

OKŁADKA: Anna Jankowiak

